

Lepiej niż w siódmym niebie

Griet Op de Beeck

An extract pp 9-22; 26-31

Original title	Vele hemels boven de zevende	Translation	Dutch into Polish
Publisher	Prometheus, 2013	Translator	Iwona Maczka

© Griet Op de Beeck/Iwona Maczka/Prometheus/Flanders Literature – this text cannot be copied nor made public by means of (digital) print, copy, internet or in any other way without prior consent from the rights holders.

p 9-13

Ewa

Co jeszcze widziałam?

Kobietę w budce z frytkami, zajętą pakowaniem, krokietami i wydawaniem reszty. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś patrzył tak smutnym wzrokiem. Miała na sobie różowy podkoszulek z brokatowym napisem LOVE ME. Dwa wyrazy na dwóch krągłych piersiach. Pomyślałam, że jesteśmy do siebie podobne. Wyobraziłam sobie, jak po przepracowanej długiej nocy wraca do domu – ona i zapach tłuszczu – do pustego mieszkania. Tak jak ja za chwilę pójdę do pustego mieszkania. Chociaż dzięki frytkom i szaszłykowi z mielonego mięsa nie odczuję tego tak mocno. Chyba.

Oto co dzisiaj robiłam: spacerowałam po moim mieście, patrzyłam, przysiadalam i słuchałam. Bo to się robi, gdy się jest samemu. I myślałam. Mówią, że za dużo myślę, ale to rodzinne, nie ma od tego ucieczki.

Widziałam małego chłopca, który uczył się jeździć na rowerze. Z dziesięć razy się przewrócił, a gdy za jedenastym razem, przygryzając wargę, przez pięć metrów utrzymał równowagę, po czym znowu uderzył o ziemię, stwierdził z powagą:

– Dobra, umiem. Idziemy napić się czekolady?

I ta mina ojca. Idiotyczne, jak bardzo mnie to wzrusza.

Widziałam kobietę koło pięćdziesiątki, rozmawiającą z przyjaciółką. Obie zrobione na jasny blond, wymalowane jaskrawą szminką, jakby codziennie była impreza. Piły kawę, nie ruszając ciasteczek. Były bardzo wesołe, raczej nie musiały się na to silić. Wtedy doszło do mnie/usłyszałam, jak ta pierwsza mówi, parskając śmiechem:

– Nie wiem, jak ty, ale I am seriously underfucked.

Chichocząc dodała, że usłyszała to w filmie i pomyślała, że musi zapamiętać, bo to w jej przypadku bardzo trafne. Z rozmowy w żaden sposób nie dało się wywnioskować, czy miała męża. Ani czy ten śmiech nie był przez łzy.

Widziałam starszego mężczyznę o bystrych oczach, który opowiadał w telewizji o swoim życiu i sztuce. I o swojej asystentce. Twierdził, że ją uwielbia, a wszystko w nim się śmiało. Może nawet więcej niż

„uwielbia”. Ale innego słowa bał się użyć, wyznał. Nie wspomniał, dlaczego. Zastanawiam się, czy niewypowiadanie pewnych słów nie ma wpływu na uczucia.

Jestem sama, ale jeszcze niestracona. Czasem powtarzam to sobie na głos. Przeważnie potrafię się z tego śmiać.

Mam trzydzieści sześć lat. To ani mało, ani dużo. Umiem świetnie tańczyć w samochodzie, chodzić na wysokich obcasach, przygotowywać risotto i być dobra dla małych zwierzątek. Jak żyć, tego jeszcze do końca nie odkryłam, ale udawanie, że wiem, wychodzi mi całkiem nieźle. Uważam, że to dobry początek. Potrafię też innym ładnie wytłumaczyć, jak się to powinno robić. Zauważyłam, że czasem mnie nawet słuchają, co napawa mnie lekkim zdziwieniem.

Co jeszcze widziałam? Chłopca z czymś pomiędzy meszkiem a wąsem nad górną wargą. Dotykał go palcami, może z dumą, ale możliwe, że ze wstydem. Stał w mojej ulubionej księgarni i oglądał książki mojego ulubionego autora. Podniósł jedną z wahaniem.

– Warto kupić – zapewniłam – jest fantastyczna.

Spojrzał, jakbym zaproponowała mu małżeństwo, przestraszony taką ilością narzuconej mu intymności. Nic nie odpowiedział i odłożył książkę na miejsce.

– Na końcu ona umiera. Teraz już pan nie musi czytać tej książki – powiedziałam i natychmiast tego pożałowałam.

Widziałam dziewczynę, zbyt młodą, by nazwać ją dorosłą, dużo młodszą od jej ukochanego pod trzydziestkę z krótko przystryżoną brodą. Zobaczyłam ich w drodze do domu. Obejmował ją mocno, mocniej niż trzeba. Było coś rozbijającego w tym, jak nie wiedział, co zrobić z jej ramionami. Pomyślałam natychmiast, że znają się niedługo. Może to była moja projekcja, bo przypomniało mi się lato, w którym miałam piętnaście lat. Uznałam wówczas, że to już najwyższa pora.

Z zasady nie chodziłam do dyskotek, jednak zasady nie zaprowadzą człowieka daleko. A więc stałam tam, obok parkietu. Było ciepło i właściwie niewystarczająco ciemno, a ja wciąż nie mogłam zdecydować, czy zebrać się na zuchwałość, czy uciec. Na wszelki wypadek nie przestawałam się uśmiechać. Nawet nie zauważyłam, że obok mnie stanął chłopak. Według kryteriów szesnastolatki najlepszy materiał na sympatię: dwudziestolatek z opaloną kanciastą twarzą, umięśniony i modnie ubrany. Powiedział, że nazywa się Francis.

– Latem pracuję jako ratownik, tutaj w Nieuwpoort – dodał, wykładając tym samym najlepszą kartę na stół. W hierarchii wakacyjnych miłości ratownicy plasowali się wyjątkowo wysoko. Byłam kompletnie zaskoczona. Tak naprawdę nawet przez moment nie wierzyłam, że wyjdę stąd, trzymając kogoś za rękę, a oto stał tutaj ten młody bóg, adonis zesłany z niebios, który – jak w prawdziwej bajce – współtworzył moje wspomnienia o pierwszym pocałunku z jęczyzkiem.

– Co porabiasz w wolnym czasie? – Na jego brodzie zawisło nieco śliny. Miałam nadzieję, że jego śliny, choć nie byłam do końca pewna. Mogła też należeć do dziewczyny, której godzinę wcześniej zadał to samo pytanie. Rozproszona tym, że jego uroda w sposób aż nazbyt ludzki została umniejszona, odpowiedziałam całkowicie nieodpowiednio, bo szczerze:

– Czytam sobie i gram.

W odpowiedzi zacytował „Jakiz to chłopiec piękny i młody? Jaka to obok dziewica?” jak gdyby te słowa poety były wierszem miłosnym, którego on wyuczył się specjalnie, by mi zaimponować. Czy nie poszłabym z nim pospacerować po plaży? Kilka chwil później szliśmy objęci brzegiem morza. I czy tutaj mieszkam? Chciał obejrzeć apartament, który wynajmowali moi rodzice. Gdy się w nim znaleźliśmy, zaczął mnie całować, zarzucając dalsze próby bliższego poznania. On całował mnie, to odpowiednio opisuje sytuację. Nie przeszkadzał mu mój brak doświadczenia, lizał i gryzł mnie na

całego. Jak szalony wsadzał mi wciąż na nowo swój wielki jęzor do ust i go stamtąd wyciągał. Całował prawdopodobnie najgorzej w całym Nieuwpoort i okolicach. Ale skąd miałam wiedzieć? Całkowicie oszołomiona, pozwalałam mu na to. Nareszcie miałam chłopaka, coś za coś. Wtedy zaczął majstrować przy moich spodniach, odsunął suwak, rozpiął guziki i bez żadnego wstępu wsadził mi do wewnątrz połowę ręki. Odepchnęłam go, raczej ze strachu niż dla zasady, na co on usiadł naprzeciwko mnie i zapalił papierosa:

– Tak już jest, że pociągają mnie zawsze brzydkie dziewczęta. Takie są najłatwiejsze, ale w tym przypadku widocznie się pomyliłam.

Nic nie odparłam, chociaż nie leży to w mojej naturze. Gdy koleżanki i koledzy z klasy we wrześniu pytali, jak spędziłam lato, odpowiadałam: – Przede wszystkim z Francisem, ratownikiem.

Wydaje mi się, że mam talent do miłości. Może to lekkomyślne, by tak mówić, ale nie szkodzi.

Z Frankiem byłam osiem lat i siedem miesięcy. Miesiąc temu zobaczyłam go niespodziewanie na dworcu pod tablicą odjazdów. Przez te lata nic się nie zmienił. Błada cera, lekko rozmarzone oczy. Jego ciało cały czas sprawia wrażenie, że jest spóźnione i dokąś się spieszy i przez to niezgrabnie chodzi. Wszystko wydaje się w nim ciągle leciuteńko chwiać i poruszać.

Waham się chwilę, ale podchodzę do niego. On mnie zauważa, uśmiecha się, przytula mnie dłużej, niż to robią przyjaciele, co nie jest przyjemne. Ma to chyba coś wspólnego z jego zapachem, który niegdyś był tak bliski, a teraz... teraz przez to odpycha.

Lepsza jest rozmowa. Ja zadaję pytania – niektóre schematy pozostają na zawsze niezmienione – on odpowiada. Wyczerpująco. Świetnie mu się układa: zawodowe sukcesy, dom w dobrej dzielnicy, ciągle w zażyłej przyjaźni z najlepszym przyjacielem. Tak dobrze znam tego człowieka. Skubie odruchowo brodę, dwa razy poprawia sweter. Śledzi badawczo mój wzrok, a to coś innego niż zwykłe patrzenie. Po wszystkim poznaję, że w jego historii są luki. A może tylko chcę tak myśleć. I nagle proponuje:

– A jakbyśmy tak wsiedli razem do pociągu, na przykład do Lokeren?

Ogólnie rzecz biorąc przepadam za głupimi pomysłami. Uśmiechnęłam się szeroko i jednak tego nie zrobiłam.

Mam trzydzieści sześć lat. Zastanawiam się, czy ludzie z czasem czegoś się uczą. Mam wrażenie, że ja za każdym razem uderzam głową w ten sam mur. Czasem wydaje mi się, że jest inaczej. Nadzieja jest matką głupich, mówi się w takim wypadku.

p 14-18

Lou

Okropnie jest mieć dwanaście lat. Jedyne, co od tego gorsze, to mieć dwanaście lat i chodzić do gimnazjum.

Nie żebym tak przepadała za podstawówką, ale tam łatwo było się rozeznać. Miałam jedną dobrą przyjaciółkę i zero problemów z resztą. W tym czasie zakochało się we mnie trzech chłopaków. To wystarczające. (Trochę szkoda, że Daan nie był jednym z nich, chociaż później słyszałam od Elsy, że smakował jak różowa guma do żucia. Chociaż zazdrościłam wtedy Elsie, to zrobiło mi się jednak mniej żal.)

W naszej szkole było dwóch nauczycieli, ale nigdy nie byłam w ich klasie. Nauczycielki były przeważnie miłe, oprócz pani Godelieve z 2B, która była nieco opryskliwa, a czasami po prostu podła. Na przykład kiedy Tiny, dziewczyna, która chętnie huśtała się na tylnych nogach krzesła, przewróciła się do tyłu i uderzyła głową o kamienną posadzkę. Tiny płakała, a pani zmusiła ją, by leżała na podłodze aż do dzwonka. Przynajmniej pół godziny kazała jej tak leżeć. Na dworze świeciło słońce, miałam nadzieję, że Tiny na to patrzyła. Ja nawet nie odważyłam się na nią spojrzeć. Chciałam zaprotestować, lecz tego nie zrobiłam. Nie potrafię sobie poradzić z podłymi ludźmi, chociaż to żadne usprawiedliwienie. Tata mówi, że nie ma złych ludzi, są jedynie nieszczęśliwi. Nie wiem, czy to prawda.

Często się martwię. Sama tego nie lubię, ale czuję, że nie mam wyboru. Mama mówi, że wszystko jest kwestią wyboru. Jakby to było takie proste.

Większość przerw spędzam w toalecie. Tam przynajmniej mam spokój.

Nie wiem, jak się zawiera przyjaźń. Myślę, że w szkole uważają mnie za dziwną. Ja to rozumiem. Sama też uważam, że jestem dziwna.

No i wydarzyła się oczywiście ta katastrofa.

Chciałam iść do De Veder, wydawało mi się, że to fajna szkoła. Ojciec uznał, że to niepraktyczne, ponieważ każdego dnia musiałabym jechać autobusem do miasta. I myślał, że mniejsza szkoła, otoczona tak jak nasz dom zielenią, będzie dla mnie lepsza. Taty często nie ma, aż tu nagle wyskakuje z tę swoją opinią. To taki człowiek, który jednym paluchem u nogi sprawdza temperaturę wody w basenie, godzinami zastanawia się, czy wskoczyć, by w końcu wciągnąć kąpielówki i mimo to nie wejść do wody, a potem narzekać, że znowu musi się przebierać. Ten basen na obrazku symbolizuje życie. Koniec końców jednak się zgodził.

Jestem zbyt wrażliwa, tak twierdzi mama. A ja nie mam pojęcia, jak mogłoby być inaczej.

Mam jasne włosy, niebieskoszare oczy i metr czterdzieści siedem wzrostu. Mówią, że jeszcze śmignę w górę. („Śmigać”, to dziwne słowo.) Tak jakby ktoś obiecał, że życie będzie sprawiedliwe. Nie mam hobby, bo uważam, że posiadanie hobby to głupota. Owszem, jest wiele rzeczy, którymi lubię się zajmować. Dużo widzę i słyszę. Zastanawiam się, czy inni też tak mają. Tak wyraźnie.

Bałam się tego pierwszego dnia wśród uczniów, z których niemal wszyscy byli wyżsi ode mnie.

Pierwszoklasistów spędzono z podwórka do holu. Stado bydła składające się z grubo ponad stu sztuk. Stoję bez ruchu i rozglądam się wkoło. Ściany w odcieniu zieleni, który na pewno nie mógłby być kolorem nadziei. I zapach letniej zupy, być może z pobliskiej stołówki, a jeśli nie, to tak pachnie ten chłopak w okularach. Wtedy słyszę po raz drugi, tym razem świadomie:

–Lou Bergmans, 1 A.

Kobieta (brązowe włosy, szczupła, ubrana paniusiowato w nadmiar beżu, ale z czymś miękkim w spojrzeniu. Pewnie uczy matematyki, czy coś w tym rodzaju) trzyma w górze tabliczkę z „1 A”. Gdy zgromadziło się nas przy niej dwadzieścia dwoje, prowadzi nas do klasy.

Są dziewczyny, które wiedzą, jak to się robi. Takie jak Vanessa. To ją wszyscy natychmiast zauważyli. Jest od nas starsza o rok i uważa, że powinniśmy się z nią liczyć, co w jej wypadku wystarczy. Jest na tyle jasną blondynką, żeby tak było. Do tego jej ojciec to podobno znany piłkarz. Dziewczyny chcą być jej najlepszą przyjaciółką, a chłopaki sympatią. Od samego początku i prawie niedbale manipuluje całą klasą, a jak się później okaże, również nauczycielami. Szczególnie tym od geografii z jego dziwnym śmiechem i tym od francuskiego z tikiem (jego lewe oko wiecie odrębne życie. Gdyby oglądanie tego nie było takie przykre, to pewnie by mnie to śmieszyło).

Chciałabym być Vanessą przez jeden dzień. Zamieniłabym się z nią na chwilę, żeby zobaczyć, jak to jest, gdy cię podziwiają. Może to bywa nawet męczące. Czasami. Gdy tak sobie rozmyślam, jej wysokość we własnej osobie pyta:

– „Lou”? Czy to nie jest imię dla chłopaka? Dlatego masz krótkie włosy?

Choć uwaga nie jest śmieszna, to skupiona wokół Vanessy grupka chichocze.

Gdy tego pierwszego dnia wracałam do domu na rowerze, wiedziałam z całą pewnością: sześć lat to bardzo długo.

Ewa twierdzi, że powinnam poszukać zbroi, chroniącej mnie przed światem. Mówi, że jesteśmy trochę do siebie podobne. Że i dla niej lata spędzone w szkole nie były piknikiem, ale że później robi się łatwiej. Nie jestem pewna, czy mam jej wierzyć. Tak czy siak na nic mi się to teraz nie przyda.

Nie wiem, czy to zbroja, ale gdy mi się nudzi, albo gdy spotka mnie coś przykrego, lubię robić listy. Pięć rzeczy, od których robi mi się smutno: 1. Żebracy z dziećmi, 2. Vanessa, 3. Mgła w poniedziałek rano, 4. Tylko jeden kawałek mięsa w zupie, 5. Kura sąsiadów, która zachorowała i zdechła. Pięć rzeczy, których nie powinno być w życiu: 1. Badania lekarskie, 2. Lodowate napoje (ponieważ moje zęby wszystko czują), 3. Filmy z Katie Holms (jest zbyt piękna) i filmy, które źle się kończą, 4. Fioletowy lakier, szczególnie na paznokciach u stóp, 5. Vanessa. Pięć rzeczy, które sprawiają mi radość: 1. Obcy ludzie, którzy się do mnie uśmiechają, 2. „Feel the love generation”, piosenka Boba Sinclara, której Ewa tak chętnie słucha. Potrafimy do niej razem odlatowo tańczyć. 3. Śmieszne zdania rozpoczynające książki („Na skraju lasu, nieopodal rzeki, wśród zarośli konik polny miał sklep. Na szybie wystawowej napisane było wielkimi literami: WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ (OPRÓCZ SŁOŃCA, KSIĘŻYCA I GWIAZD)”) 4. Miły SMS, którego się nie spodziewałaś. Nad piątą rzeczą muszę się jeszcze zastanowić.

Ewa jest jedyną osobą, która wie o tej katastrofie. Nie mam ochoty teraz o tym opowiadać.

Przepadam za Ewą. Gdy byłam mała, uważałam, że jest zabawna. Później pokazała mi wiele rzeczy. Zanim zabierze mnie w nowe miejsce, zawsze wcześniej mówi, czego mogę oczekiwać. Daje mi to poczucie pewności. Ewa rozmawia ze mną o wszystkich ważnych rzeczach. Wie, o co pytać, i słucha, gdy odpowiadam.

Wydaje się, że zawsze jest wesoła, jakby lada moment miała się rozpocząć zabawa, na którą jest całkowicie przygotowana. Mówi, że lubi mieszkać sama, ponieważ może się cała okręcić w kołdrę, puścić bąka, kiedy ma na to ochotę, i wstać, od tak, w środku nocy, żeby zjeść lody.

Ewa twierdzi, że po wyczerpującej i pełnej stresu pracy z ludźmi spokój dobrze jej robi. Ja to rozumiem. Ewa ma trudny zawód. W więzieniu pomaga innym, tego uczyła się na studiach. A wtedy człowiek po pracy pewnie potrzebuje spokoju.

Czasem jej wierzę, ale nieraz jestem pewna, że, opowiadając takie rzeczy, kłamie. Próbuję o tym zapomnieć, bo wolę wyobrazić sobie, że Ewa jest szczęśliwa.

p 19-22

Kacper

Ewa przyprowadziła ją na mój wernisaż: piękną kobietę z niedbale upiętymi ciemnymi włosami, o wystających kościach policzkowych i tym spojrzeniu: pewnym, a jednocześnie ciepłym. Na wysokich obcasach była nieco wyższa ode mnie, co uważam za seksowne.

Nigdy nie pytam innych, co myślą o moich obrazach, lecz ta kobieta mnie zaintrygowała, więc po reakcji Ewy – sympatycznej, jak sama Ewa, ale poza tym nieodbiegającej od tego, co słyszałem już aż nazbyt często – zorientowałem się, że odwracam się w jej stronę i pytam:

– A pani?

– Nie potrafię tak natychmiast odpowiedzieć – stwierdziła. – Jeśli naprawdę chce pan wiedzieć, musi mi pan dać swój adres, napiszę do pana list – zaśmiała się i spojrzała wzrokiem, którego nie potrafiłem do końca rozszyfrować.

Rozmawialiśmy ze sobą najwyżej z kwadrans, ale tego wieczoru poszedłem do domu, nie mogąc zapamiętać jej spojrzenia.

Trzy dni później wpadł do mojej skrzynki list, cudownie staroświecki, napisany odręcznie pięknym pismem. Przeczytałem go co najmniej siedem razy. Odniosłem wrażenie, że tę kobietę ktoś oprowadził po mojej głowie. A jakich wyrażen używała, żeby to opisać! Mimo, że jestem człowiekiem od obrazów, to osoby, które potrafią posługiwać się słowami, zyskują w moim świecie dodatkowe punkty.

Dużo czasu zajęło mi odkrywanie tego, kim jestem. Już jako dziecko sporo mazałem ołówkiem po papierze, pisakami po podkładkach pod piwo, nie obierając konkretnego kierunku i nie zastanawiając się, co mógłbym z tym zrobić. Później ojciec kazał mi się wyuczyć zawodu:

– W naszej rodzinie nie ma marzycieli ani artystów – stwierdził, cedząc słowa, jakby ustalał regułę, co do której był pewien, że się jej będę trzymał.

Nie należałem do buntowników, najpierw skończyłem psychologię na uniwersytecie. Kiedy już spełniłem wszystkie oczekiwania, wyjechałem, sam, daleko od wszystkiego, co znałem. Dużo się rozglądałem, wiele milczałem, przysłuchując temu, co zabrzmia najgłośniejsze, wróciłem i zająłem się malarstwem. Później niż inni, lecz przypuszczam, że z silniejszym pragnieniem i większą koncentracją, gdyż wiedziałem, że wszystko się zgadza, że jestem malarzem. Niezależnie od tego, jak bardzo byłem niepewny, zanim oficjalnie odważyłem się wyjść z pracami z mojego atelier, to zawsze uważałem, że muszę wytrwać, jeśli trzeba, to choćby i bez uznania, czy pieniędzy. To, że zostałem zauważony, że odniosłem sukces zagranicą, było dziwnym uczuciem, ale i przyniosło ulgę, ponieważ odpowiedź na postawione przez ciebie pytanie, to najpiękniejsze, co cię może spotkać. Poza tym już od wielu lat mogę skupić się wyłącznie na pracy, czyli na tym, co dla mnie najistotniejsze. Dużo ważniejsze niż sukces. Z pozycji, którą zajmuję, brzmi to być może nazbyt łatwo, ale jednak tak właśnie jest. Ponieważ potrzebuję malowania, by móc znosić życie i ponieważ malowanie jest w stanie dać mi spełnienie.

A teraz ta kobieta pisze o mojej twórczości – o mnie – w taki sposób, że robi mi się na zmianę zimno i gorąco. O tym, jak odczytuje moje obrazy, używając zdań takich jak: „Ta cała obrzydliwa samotność i wypełnione tęsknotą zbieranie się w garść. Szał i zapaść. Odczuwanie i błędzenie. Odnajdywanie i ponowne poszukiwanie. Owo pragnienie, z którym nie bardzo wiadomo, co zrobić, a z którego równocześnie można śmiać się w głos. Pańska sztuka jest – nieraz – zabawna, i – chwilami – tak smutna, że aż chce się płakać, a od czasu do czasu w tych samych momentach zarówno zabawna, jak i smutna.” I jeszcze to: „To obrazy, przez które tak wiele odczuwam, że wyłącza się myślenie, a ja, oglądając, naprawdę chcę myśleć. I nie mogę przestać patrzeć, podczas gdy moja głowa i serce ciężko pracują. To wyjątkowe.” Kto pozostałby w takiej sytuacji niewzruszony?

Czekam jeden długi dzień, wypełniony przemyśleniami i wątpliwościami, po czym biorę do ręki gruby arkusz papieru z moim szkicem – kilka kresek, nic więcej, ale czułem, że coś w nim było – i piszę na dole: „Dla Pani. Z powodu Pani słów i Pani spojrzenia.” Czy to nie głupie? Wkładam papier do dużej koperty i wrzucam ją do skrzynki na listy za rogiem, już nie mam powrotu.

– Niektóre rzeczy po prostu muszą się stać – mówię na głos, bo wypowiedzenie podobnych rzeczy na głos zawsze brzmi bardziej przekonująco.

Gdy przychodzę do domu, na kanapie leży Willem i ogląda wiadomości.

– Mama dzwoniła, że chce dłużej zostać w pracy. Może w takim razie zamówimy pizzę?

– Mamy w domu mnóstwo rzeczy, z których coś można ugotować – słyszę, jak odbijam echem to, co powiedziałaaby Merel.

– Proszę cię, rzadko nadarza się nam okazja, żeby zrobić coś niezdrowego – spoglądał błagalnie spod swoich długich włosów.

– Fakt – odpowiadam, szukam ulotki gości od *home-delivery* i siadam obok niego.

– Pizza *bolognese* dla pana?

– Nie, hawajska – odpowiada, a gdy wykręcam numer telefonu, jednak decyduje – Albo nie, niech będzie *bolognese*.

Kończę rozmowę przez telefon i stwierdzam:

– A już się zastanawiałem, jak to możliwe, że on ma nagle ochotę na coś innego.

– Kac-pe-er, nie śmiej się ze mnie!

– Tylko odrobinę, z amatora nowych wrażeń, jakim jesteś.

– Ale jeśli ja tę po prostu lubię?

– To prawda, w życiu zawsze trzeba robić to, co się lubi.

Willem ogląda ostatnią wiadomość dziennika, po czym komentuje wydarzenia ze świata, a ja znów jestem pod wrażeniem tego, jak mądry jest ten chłopak. Uzasadniając swe zdanie, kręci palcem prawej ręki we włosach, zawsze tak robi, gdy myśli. Przez lata tak dobrze go poznałem.

To właściwie dziwne, jak bardzo można pokochać nieswoje dziecko. Gdy Merel wyznała, że ma syna, który mieszka z nią przez połowę czasu, zawahałem się przez chwilę. Jeszcze niedawno, gdy Willem i ja w atelier paćkaliśmy po płótnie, pomyślałem jednak, że coś w tym chłopcu jest. Ma zaledwie czternaście lat, a jak on patrzy na świat, jak niczym się nie przejmuje, z jaką pewnością posługuje się ołówkiem i pędzlami! Pomogłem mu trochę, bo chciał namalować obraz na urodziny matki. Praca pełna jaskrawych kolorów, wcale niezła, szczerze tak uważam. Dał ją matce, mówiąc:

– Wyszło naprawdę świetnie – Willem uważa, że skromność jest dla starych ludzi, – może też troszeczkę dzięki Kacprowi.

Oczy Merel zaszyły wtedy łzami i spojrzała w tym momencie na niego i na mnie w taki sposób ...

Dzwonek do drzwi.

– Zejdę na dół, dasz mi pieniądze?

Daję mu banknot pięćdziesiąt euro. Słyszając, jak pędzi przez długi korytarz, ponownie myślę o Elsie i zastanawiam się, co ja do diabła robię.

p 26-27

Elsie

Ledwo wsiadłam do samochodu, dostaję SMS-a. Zastanawiam się, czy to Walter. Od Kacpra. Zaskakujące.

– Dziwnie się patrzysz – mówi moja siostra.

– Opowiadałam ci o tym pięknym szkicu, który przysłał mi Kacper? Pisze SMS-a, że chciałby ze mną coś zjeść.

– Aha... – Ewa przewidziała, że tak się stanie. Twierdziła, że wtedy w galerii iskrzyło w powietrzu pomiędzy mną a Kacprem. – Co pisze?

– Nas dwoje to ta sama osoba – czytam. – Jeśli to nie jest wystarczający powód, by coś razem zjeść, to nie znam lepszego. W tę środę?

- Chyba pójdziesz, co?
- Nie mogę tego zrobić. Jestem kobietą zamężną.
- Która napisała list...
- O jego sztuce, którą uwielbiam. Piszę także do ludzi teatru.
- Pewnie tak, ale nie próbuj mi wmówić, że tym razem nie postarałaś się bardziej – Ewa uśmiecha się szeroko.
- Przyznaję, że rzeczywiście mam ochotę.
- Elsie, powinnaś zobaczyć swój wzrok w tej chwili.
- Zgodzić się na tę propozycję, to byłoby zupełnie *unlike me* – stwierdzam.
- Tym bardziej powinnaś – Ewa promienieje w moim zastępstwie. – Kacper jest fantastyczny! „Ja też się tego obawiam”, myślę, ale tego nie wypowiadam.

p 28-31

Jos

Oczywiście, że popełniłem błędy. Mam siedemdziesiąt jeden lat i jeszcze codziennie płacę za nie wysoką cenę.

Niektórzy ludzie niczego nie zapominają. Ja staram się zapomnieć jak najwięcej. To, jak bolały mnie plecy po całym dniu w restauracji. Jak ominęły mnie pierwsze występy moich dzieci w szkole muzycznej, jak mnie nie było na żadnych ich występach. Jak bardzo potrafię się zezłościć i że wtedy...

Smutek szuka ujścia za wszelką cenę. Teraz zdaję sobie z tego sprawę.

Przez cztery lata nie wypilem ani kropli alkoholu. Po prostu stanowczo rzuciłem picie, z dnia na dzień. Żadnych klubów AA, terapeutów, tabletek. Czysta siła charakteru.

Nie to, co twierdził lekarz, spowodowało, że podjąłem ten krok, lecz spojrzenie Ewy, gdy lekarz powtarzał szeptem mojej żonie to, co chwilę wcześniej powiedział mi – jak gdyby siedmioletnie dziewczynki nie słyszały, gdy mówisz nieco ciszej: „Jeśli nie przestanie, to wkrótce zapije się na śmierć. Tego nie znieśnie żadna wątroba pod słońcem”. Ewa potrafiła spojrzeć tak, jakby wszystko wiedziała.

Ile mogła mieć wtedy lat, dziewięć, może dziesięć? Sprzeczałyśmy się, Jeanne i ja. Nagle, w środku dyskusji moja żona zamilkła i nie przestawała milczeć, choć to nie było w jej zwyczaju. Teraz wszystko mogło się wydarzyć. Oglądaliśmy w telewizji serial, za którym przepadała, a gdy zaczęło się robić interesująco, wstała, podeszła do kredensu ze starym serwisem z restauracji i bez żadnego komentarza zaczęła rytmicznie rozbijać talerze, jeden po drugim. Jak gdyby w myślach gwizdała przy tym walczyka: raz, dwa, łup!, raz dwa, łup!. Oburzony wrzasnąłem coś w jej kierunku. Przyznaję: w takich przypadkach nie wiedziałem, co robić.

I wtedy zjawiła się Ewcia. W koszuli nocnej zeszła na dół, otworzyła drzwi do dużego pokoju i oceniła sytuację. Niemal bez wahania wzięła mnie za rękę i wypchnęła do kuchni – wydawała się myśleć, że ja mógłbym tylko pogorszyć sprawę. Zza zamkniętych drzwi słyszałem, jak stara się przekonać moją żonę. Mówiła cicho i nieprzerwanie, z nadludzkim spokojem. Równie nagle, jak Jeanne zaczęła, tak szybko przestała rzucać talerzami. Ewa posadziła matkę na krześle.

- Teraz postaraj się całkiem uspokoić.

Zabrzmiało to jak rozkaz, którego nie można nie wykonać. Ewa zmiotła skorupy talerzy do kupy, wprowadziła mnie z kuchni i wysłała do łóżka. Kwadrans później sama zjawiła się na gorze.

- Mama zaraz przyjdzie – popatrzyła, dodając mi odwagi, i poszła do swojego pokoju.

A ja na to wszystko pozwoliłem. Byłem słabeuszem. Tak często przegrywałem. Niech nikt nie myśli, że jestem z tego dumny.

I wtedy, w któreś Boże Narodzenie. Obchodziliśmy drugi dzień świąt, restauracja była zamknięta i miałem czas na świętowanie razem z bratem i jego trzema synami. Młodzież chciała pobawić się na dworze, dzieci nie odczuwają zimna. Nasz duży ogród graniczył z działką, z której nikt nic nie robił. Przypominała miniaturową puszcę porośniętą niezdefiniowanymi drzewami, roślinami i różnego rodzaju chwastami. Wokół działki postawiono porządne ogrodzenie, a obok żywopłot oddzielający posesje od siebie. Z naszego domu ledwo ją było widać.

W przypadku tak dużego ogrodu jak nasz, trudno się spodziewać, że dzieci wybiorą się na ekspedycję do części, w której nie powinny się znaleźć. Jednak w tym wieku wszędzie szuka się przygód.

Nagle wpadł do pokoju najmłodszy syn mojego brata, jękając się z przejęcia:

– Znaleźliśmy skarb, w naszej dżungli!

Za nim przyszła Ewa, jej palce były fioletowe z zimna.

– Glenn ma tyle wyobraźni – stwierdziła – Chodź, wracamy, żeby zakopać skarb tak, by nikt go więcej nie znalazł.

Długo całe paczki nie było. Gdy nadszedł czas, by rozpakować prezenty i zawołano dzieci do środka, otaczała je aura tajemnicy.

– I jak tam skarb? – zapytał mój brat.

– Tylko my coś o nim wiemy, prawda, chłopcy? – odezwała się głosem spiskowca Ewa – To nasz sekret, będziemy milczeć, jak grób.

– Jak grób – potwierdził Glenn i trzymał język za zębami, jakby chciał nam tym zrobić kawał.

Dzieci popatrzyły tryumfalnie i dumnie na Ewę. Ewa spojrzała na mnie. Króciutko.

W nocy poszedłem do ogrodu. Choć właściwie byłem zbyt pijany, to wziąłem drabinę, żeby przejść przez ogrodzenie w poszukiwaniu butelek, które wyrzucałem tam przez cały rok. Na moim prywatnym wyspisku śmieci. Dzieci na pewno je znalazły, a Ewa zrobiła z tego zabawę i sprawiła, że butelki zniknęły. Jeanne nigdy się o tym nie dowiedziała.

Elsie była inna. Starsza siostra, bardziej niezależna, wygadana. Nawet w obecności mojej matki, kobiety dość charakterystycznej, która urodziła i wychowała trzynaścioro dzieci w niewyobraźalnie małym domku, żyjąc z marnej pensji kiepsko opłacanego urzędniczyny, jakim był mój ojciec. Wciąż była czymś zajęta. Dzieci się kłócą i chorują. Marudzą, bo głodne, a ona tego głodu nie jest w stanie zaspokoić. Śpiewają zbyt głośno jak na jej migrenę. Człowieka zahartują i lepsze warunki. Była dumna i rozsądna. Była kobietą, która w innych czasach i okolicznościach wiele by osiągnęła. Zdawała sobie z tego sprawę. Znosiła swój los w milczeniu, tak jak wówczas większość ludzi.

Poza tym we wszystkim była głośna. Nie wydaje mi się, że specjalnie, to był raczej jej sposób na to, żeby podzielić się z innymi swoją nieustanną złością na życie. W dniu odwiedzin, kiedy już odpowiednio skomentowała ciasto, fryzurę Jeanne i skuter, który Ben za naszą zgodą kupił za zarobione przez siebie podczas wakacji pieniądze, zaczęła narzekać, że tak rzadko mnie i Jeanne widuje.

– Niewdzięczne dzieci są najgorsze – stwierdziła, patrząc przy tym tak, jakby za chwilę miał się zawalić cały świat.

Na co Elsie bez mrugnienia okiem odpowiedziała:

– Czasem życie bywa sprawiedliwe i ludziom rodzą się dzieci, na jakie zasługują. Dolać babci kawy?